

Rozbójnik Boży

Douglas Hyde

ROZBÓJNIK BOŻY

*Historia księdza Orione
„Ojca ubogich”*

Tłumaczenie z angielskiego

ks. Edward Sobieraj FDP

ks. Tadeusz Witkowski FDP

ks. Łukasz Mikołajczyk FDP

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału: *God's Bandit*

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Małe Dzieło Boskiej Opatrzności – Orioniści, 2018

Opieka redakcyjna: Klaudia Adamus

Korekta: Wydawnictwo Republika Ostrowska

Projekt okładki i skład: Wydawnictwo Republika Ostrowska

ISBN 978-83-277-2007-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia WYDAWNICZA • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze IGEPa Creamy 80 g vol. 1.6
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

Słowo wstępne

provincjała księży orionistów do III wydania

Do grona świętych i błogosławionych należy wielki przyjaciel Polski i Polaków – nasz założyciel święty Alojzy Orione. Papież św. Jan Paweł II beatyfikował ks. Orione 26 października 1980 roku i przedstawiał go Kościołowi jako „cudowny i genialny wyraz miłosierdzia chrześcijańskiego”, dodając: „z pewnością był on jedną ze świetlanych postaci tego wieku poprzez swoją otwarcie przeżywaną wiarę chrześcijańską”, miał hart i serce Apostoła Pawła, a zarazem [był] delikatny i wrażliwy, aż do łez, niestrudzony i odważny, aż do śmiałości, wytrwały i dynamiczny, aż do heroizmu”. A podczas kanonizacji, która miała miejsce 16 maja 2004 roku na Watykanie, św. Jan Paweł II nazwał ks. Orione „strategiem miłości”.

Świętość ks. Alojzego Orione wzbudziła i nadal rodzi podziw oraz pobożność wśród wiernych, wśród uczniów – wolę naśladowania go i pójścia za nim. Żywy pozostaje bowiem jego charyzmat, nieustanny i uniwersalny dar dla Kościoła. Dzięki światłu tego charyzmatu zaistnieli wspaniali naśladowcy ks. Orione; niektórzy z nich stali się wzorami dla

drugich, inni pozostawili głębokie ślady w życiu Kościoła i społeczeństwa, a jeszcze inni – choć mniej znani – „oddali swe życie w radosnej całopalnej ofierze miłości dla Chrystusa i dla dusz” (ks. Orione).

Dzieło ks. Orione – istniejące dziś w ponad trzydziestu krajach świata – obejmuje zgromadzenia zakonne Synów Boskiej Opatrzności, Małych Sióstr Misjonarek Miłosierdzia, Sakramentki Niewidome, Pustelników Boskiej Opatrzności, Orioński Instytut Świecki oraz Orioński Ruch Świecki – ogromną Rodzinę Oriońską, która promieniuje w świecie, przede wszystkim poprzez dzieła miłosierdzia.

Życiorys ks. Alojzego Orione próbowało napisać wielu autorów: zarówno spośród jego synów duchowych, jak i wielu spoza ich grona. Wśród biografii dostępnych w języku polskim najbardziej znane w Polsce jest dzieło angielskiego autora Douglasa Hyde'a *Rozbójnik Boży (God's Bandit)* z 1952 roku. Po raz pierwszy ukazało się ono w Polsce w 1980 roku dzięki tłumaczeniu z języka angielskiego naszych współbraci: ks. Edwarda Sobieraja FDP i ks. Tadeusza Witkowskiego FDP.

Niniejsze wydanie *Rozbójnika Bożego* jest już trzecim, uzupełnionym o fragmenty usunięte przez cenzurę w latach osiemdziesiątych i wzbogaconym o fragment homilii Ojca Świętego Jana Pawła II ze Mszy Świętej kanonizacyjnej.

Dziękuję Fundacji Iskra Boskiej Opatrzności, to znaczy jej niestrudzonym pracownikom: ks. Grzegorzowi Sikorskiemu FDP, p. Andrzejowi Walczakowi, ks. Łukaszowi Mikołajczykowi FDP, a także ks. Sylwestrowi Sowizdrzałowi FDP za podjęcie się redakcji tego trzeciego polskiego wydania. Wyrazy wdzięczności składam również na ręce p. Katarzyny Pytlarz i całej redakcji Wydawnictwa WAM w Krakowie.

Zatem czytając tę biografię, starajmy się czerpać inspirację do naśladowania Chrystusa w naszym codziennym życiu tak, jak to czynił św. Alojzy Orione: poprzez służbę najuboższym i umiłowanie Jezusa, Maryi, Papieża i dusz, które Pan Bóg stawia na drodze naszego życia.

Warszawa, 12 marca 2018 roku

*ks. Krzysztof Baranowski FDP
prowincjał*

Od tłumaczy

Autor *Rozbójnika Bożego* – Douglas Hyde – jest Anglikiem. Przyszedł na świat w 1908 roku w rodzinie pastora. Uzyskał wyższe wykształcenie, ale nie poszedł w ślady ojca, lecz przystąpił do angielskiej lewicy. Z tym nurtem życia politycznego Anglii był związany do 1948 roku. Odtąd zmienił przekonania i przeszedł na katolicyzm, by oddać mu między innymi swoje pióro.

Hyde swego czasu poznał wielkiego pisarza włoskiego Ignacego Silone, który mu dużo opowiadał o swoim przyjacielu – księdzu Alojzym Orione – i zafascynował go tym „dziwnym kapłanem”. Między innymi od tego pisarza dowiedział się, że ksiądz Orione pomógł mu w ucieczce do Szwajcarii przed więzieniem faszystowskim, usłyszał zresztą dużo więcej...

Postać tego księdza rzeczywiście bardzo zainteresowała Hyde'a, tak że w latach pięćdziesiątych przyjechał do Włoch, żeby się bliżej zapoznać z jego zgromadzeniem i zebrać materiał do biografii.

Podczas zbierania wiadomości, zarówno w archiwach, jak i wśród osób, które znały księdza Orione i stykały się z nim, fascynacja osobą założyciela

Zgromadzenia Księży Orionistów rosła z każdą nową uzyskaną informacją, nowym dokumentem. Następnie Hyde opracował te materiały – przytaczając bardzo często wypowiedzi swoich rozmówców – i zatytułował tekst *God's Bandit (Rozbójnik Boży)*.

Tłumacze starali się oddać jego myśl możliwie najlepiej, ale często niektóre sformułowania opuszczali, uważając je za mało istotne dla polskiego czytelnika. Nie uszczuplili jednak w niczym „substancji” dzieła – i ksiądz Orione, bohater opracowania, i Hyde, jego autor, pozostali w nim sobą.



PROLOG



W mieszczącej się w suterenach Szkoły Zawodowej w Wenecji jadalni o kamiennej posadzce furtian podawał mi kolację: chleb, specjalny gatunek sera i czerwone wino. W rzeczywistości nie był to zwykły furtian. Stawiając posiłek na nieheblowanym stole, mówił bez przerwy dźwięcznym basem, a płynnej jego wymowie towarzyszyły żywe, pełne wyrazu gesty. Był niskiego wzrostu, krępej budowy, o potężnej klatce piersiowej, którą śnieżna biel koszuli zdawała się jeszcze poszerzać.

– Z taką klatką piersiową nadawałby się pan na śpiewaka operowego – schlebiałem mu.

– Byłem nim, proszę pana, byłem niegdyś – odpowiedział. – Już jako chłopiec marzyłem o karierze śpiewaka. Dorastając, utwierdziłem się w przekonaniu, że Bóg obdarzył mnie pięknym głosem. Moje nadzieje się spełniły. Zostałem śpiewakiem operowym. Zaangażowano mnie do La Scali w Mediolanie, co jest w ogóle największym zaszczytem dla każdego śpiewaka. Ja osobiście, będąc mediolańczykiem, uważałem to za największe szczęście, jakie mnie mogło spotkać. Śpiewałem partie solowe w kilku najśłyn-

niejszych operach. Oto tak... – odrzucił w tył głowę, wyprężył pierś, a z jego ust po pustych korytarzach szkoły popłynęła kaskada dźwięków.

– Pan ma jeszcze wspaniały głos! Co pan tutaj robi? Dlaczego opuścił pan La Scalę? – zapytałem.

Jego odpowiedź doskonale harmonizowała z wrażeniami, jakie właśnie odniosłem.

– Pewnego wieczoru wracałem z opery. Natknąłem się na księdza Orione. Odezwał się do mnie i w tej samej chwili odczułem na sobie jego oddziaływanie: wiedziałem, że pójdę za nim choćby na koniec świata. Nie potrafię panu wytłumaczyć, jak się to stało. Opowiadał mi o swojej pracy, a na moje pytanie, czy mógłbym mu być w czymś pomocny, odrzekł, że potrzebuje palacza do szkoły, w której chłopcy z ulicy powinni się czegoś pożytecznego nauczyć. Tę właśnie szkołę otworzył tutaj w Wenecji. Wyraziłem zgodę na tę pracę, udałem się z nim do Wenecji i już mnie La Scala więcej nie zobaczyła.

Było po północy, gdy przybyłem do Mediolanu. I kiedy znalazłem się w Małym Cottolengu księdza Orione, udałem się natychmiast na spoczynek, nie rozejrzawszy się wcale w rozkładzie gmachu i nie zdawszy sobie trudu dociekania, czemu służy.

Następnego ranka wybrałem się na poszukiwanie łazienki i wnet poblądziłem w labiryncie korytarzy. Nagle otworzyły się szeroko drzwi i wypadł z nich siedzący na wózku wrotkowym chłopak bez nóg; szurnał

koło mnie, wpadł do przeciwległych drzwi i zniknął w pomieszczeniu, gdzie prawdopodobnie była łazienka. Przez otwarte drzwi, z których wyjechał, zobaczyłem wielką salę, gdzie chłopcy bez rąk i nóg dźwigali się z łózek.

I tak zorientowałem się równocześnie, gdzie jest łazienka i jakie jest przeznaczenie zakładu. Był to jeden z sześciu domów księdza Orione dla dzieci – kalek wojennych.

Później, gdy wybrałem się na zwiedzanie domu, spotkałem jego mieszkańców wracających po Mszy Świętej z kaplicy mieszczącej się w głębi kompleksu zabudowań. Była to niezwykła gromada odzwierciedlająca wielorakość wykonywanej tutaj pracy i sprawowanej opieki. Przebywały tu staruszki, młode dziewczęta – kaleki, niewidome, stare, upośledzone umysłowo kobiety, okaleczone przez wojnę dzieci, często sieroty. Kiedy szedłem dalej szerokim korytarzem, obok tych odepchniętych i odrzuconych, mijalem jasne pomieszczenia pełne obłąkanych dziewcząt, małych ludzkich zwierzątek, oraz przykutych chorobą do łózek staruszek, które już nie potrafiły zapanować nad swoimi potrzebami fizjologicznymi.

Pod jednym i tym samym dachem przebywało dwieście kalekich dzieci, sto dziewcząt osieroconych, pięćdziesiąt upośledzonych umysłowo (część z nich w stopniu głębokim), zniekształconych, pokrzywionych, sto kobiet chorych psychicznie, dwieście kobiet

starszych, zgrzybiałych, nieuleczalnie chorych. Razem sześćset pięćdziesiąt osób, o które nikt inny nie chciałby się zatroszczyć. Opiekowali się nimi członkowie Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności i Małych Misjonarek Miłosierdzia – dwóch zakonów założonych przez księdza Orione.

Burmistrz Florencji, La Pira, to człowiek miły i nieprzeciętny. Jest pierwszym obywatelem jednego z najpiękniejszych miast świata, pracuje w jednym z jego wspaniałych gmachów, a mieszka w celi mniszej. Na umówiony obiad zjawił się na *vespie* – skuterze młodego człowieka, który akurat wtedy przejeżdżał przed portalem Palazzo Vecchio, gdy burmistrz opuszczał siedzibę urzędu.

Obiad spożywaliśmy przy stole, na podeście klatki schodowej, w pewnym domu przeznaczonym dla małoletnich przestępców. Byli wśród nich skazani za kradzież, których umieszczono tutaj zamiast w więzieniu; młodzi włóczędzy i bezdomni ulicznicy – w sumie czterdziestu młodzieńców między siedemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia. Wszyscy oni weszli już w konflikt z prawem i porządkiem społecznym. Mimo to nie stosuje się tu zamków w drzwiach ani surowego regulaminu.

Dozór sprawował jedynie niepokąźny, zawsze uśmiechnięty, starszy już ksiądz Secchiaroli ze Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności. Członkowie tej opornej „familii” w każdej chwili mogli wykończyć

go i ulotnić się. To się jednak nie zdarzyło. Między stu pięćdziesięcioma młodocianymi, którzy od założenia dom ten zamieszkiwali, znalazł się tylko jeden recydywista. Przeważnie czują się oni tu jak u siebie, kochają ten dom jak ognisko rodzinne, które większość z nich znalazła po raz pierwszy w życiu. Niektórzy, mimo że już poprzednio karani, pracują u znanych złotników i jubilerów we Florencji. Z poruczenia księdza Secchiarolego cały dzień mają do czynienia ze srebrem i złotem. Jeszcze żaden z nich nie sprawił zawodu.

– Jak on to robi? – zapytałem mego towarzysza zadającego makaron. – Czym to wytłumaczyć?

La Pira rozłożył ręce charakterystycznym szerokim gestem.

– Większości członków jego zgromadzenia udało się z czasem, przynajmniej w pewnej mierze, przyswoić tę lub ową wybitną cechę założyciela. Ksiądz Secchiaroli ma coś z potężnej osobowości księdza Orione, którego cechowało wielkie umiłowanie człowieka. Z tego on właśnie czerpał i w tym leży jego moc. Ponieważ jest silną indywidualnością, może rezygnować z krat i surowych przepisów; nie potrzebuje też uciekać się do pomocy policji.

W wielkim ośrodku robotniczym w Turynie mieszkali liczni pracownicy przemysłowi, zatrudnieni przeważnie w wielkich zakładach Fiata.

Tam mieli swoje mieszkania i dobre utrzymanie; chodzili na koncerty, kursy artystyczne i muzyczne,

korzystali z bogatego zbioru płyt i dokształcali się we wszystkich dziedzinach od ekonomii do filozofii.

– Poza tym – mówił mi kierownik, ksiądz Pollarolo – pomagamy im przygotować się na dzielnych przywódców środowiska robotniczego, aby jako członkowie rad zakładowych lub związków zawodowych byli gotowi walczyć zdecydowanie, gdy zajdzie potrzeba; a także wspieramy ich we właściwym ukierunkowaniu ich aktywności przywódczej. Ksiądz Orione żywił przekonanie, że robotnik powinien walczyć o sprawiedliwość społeczną, a społeczeństwo ze swej strony musi dołożyć wszelkich starań, aby podnieść jego godność.

Jako były działacz lewicy rozmawiałem z Ignacym Silone w jego mieszkaniu w Rzymie. Sławny ten powieściopisarz, członek Niezależnej Partii Socjalistycznej, jako chłopiec również doznał opieki księdza Orione.

– Bardzo pana proszę – nalegał – jeżeli pan będzie o nim pisał, niech pan nie zrobi z niego filantropa katolickiego. W ten sposób pan go pomniejszy. Naturalnie, opiekował się bliźnimi, jak to i inni czynią, dążył do sprawiedliwości społecznej, ale jego nadzwyczajna siła i moc tkwiła w tym, że we wszystkim, co czynił, polegał wyłącznie i całkowicie na Bogu.

7 kwietnia 1949 roku przybył do Londynu ksiądz Paweł Bidone, kapłan ze Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności. Nie znał języka angielskiego. Całym

jego majątkiem było dziesięć szylingów oraz karteczka z nazwiskiem i adresem jedyne go angielskiego pośrednika, życzliwego człowieka znanego zakonowi. Przywiózł jednak ze sobą niezłomne przekonanie, że Opatrzność Boska wyznaczy mu pracę i zadanie.

2 lutego 1952 roku, a zatem w niecałe trzy lata po jego przybyciu, wprowadził się pierwszy staruszek do urządnego przez księdza Bidone domu dla starców w południowej dzielnicy Londynu. Dom kupiono za wysoką cenę i był obciążony pokaźną hipoteką, ale koszty byłyby jeszcze większe, gdyby nie dobrowolna, wydatna pomoc robotników sąsiednich dzielnic.

Po następnych trzech latach otworzono drugi dom. Domy dla starców odpowiadały palącym potrzebom, gdyż dola ludzi w podeszłym wieku przedstawia się w państwach powojennego dobrobytu najgorzej.

Hojność społeczeństwa angielskiego, która umożliwiła te niezwykle osiągnięcia, dowodzi, że ludzkość doszła do przekonania, iż państwowa sprawiedliwość społeczna, chociażby z woli ludu wypływała, nie zawsze może zaradzić nędzy społecznej. Konieczna jest jeszcze obfita i nieograniczona chrześcijańska miłość bliźniego.

Sac. Luigi Oriano



ROZDZIAŁ I
SYN BRUKARZA



Gdy Rzymianie budowali drogę prowadzącą przez ich obóz wojenny w Pontecurone, nie mogli przewidzieć, że kiedyś grozić ona będzie niebezpieczeństwem śmierci zmotoryzowanym ludziom xx wieku.

Ta sama droga prowadzi dzisiaj, jak niegdyś, przez środek wsi Pontecurone. Tworzą ją tutaj kocie łby, poprzecinane traktem z płaskich płyt odpowiadającym dokładnie rozpiętości kół samochodów. Kiedy jadący z Mediolanu do Genui, i odwrotnie, z Genui do Mediolanu, spotykają się właśnie na tym spornym odcinku, następuje walka o pierwszeństwo. Słabsi są skazani na kocie łby, zwycięzcy pędzą przez wieś traktem wytyczonym środkiem drogi.

W 1872 roku, kiedy urodził się Alojzy Orione, trasa ta nie знаła jeszcze śmiertelnych katastrof; od dwóch tysięcy lat mało się tu ruch zmienił.

Pontecurone jest i obecnie, mimo ożywionego ruchu samochodowego oraz czterech tysięcy mieszkańców, trzech cegielni, fabryki tkanin z sześciuset-osobową załogą, senną i brudną dziurą w północnej części Piemontu, blisko lombardzkiej granicy. Wtedy musiało być jeszcze bardziej osowieale i zaniedbane.

W dobudówce większego domu na skraju Pontecurone żyli Wiktor Orione, majster brukarski, i jego żona. Jako brukarz Wiktor był odpowiedzialny za stan okolicznych dróg – znosił głązy z rzeki, obrabiał je i układał, naprawiając drogi, jeśli była potrzeba.

Prosta ludność wieśniacza považała brodatego Wiktora, byłego garybaldczyka. Znał się na swoim rzemiośle, był solidny i uczciwy, wymagający, lecz sprawiedliwy wobec swojej brygady. Potrafił się unieść i wydawać głośno rozkazy, ale nie był zawzięty ani mściwy i nie zrażał sobie pomocników.

Cechowała go wielka oszczędność. Aby nie tracić grosza na środki lokomocji, wyruszał pieszo nocą w niedzielę do oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów miejsca pracy. W przeciwieństwie do większości swoich ziomków stronił od gospody, a w każdą niedzielę widziano go w kościele na Mszy Świętej.

– Przy tak wspaniałej kobiecie, jaką była jego żona, nie mógł zejść na manowce, choćby mu na to przyszła ochota – mówił pewien dziewięćdziesięciodziewięcioletni starzec, który go jeszcze pamiętał. – Nie, żeby był pantoflarzem, na to był za surowy i nieustępliwy.

Ta uwaga nie była naganą dla Wiktora, ale pochwałą dla nieprzeciętnego charakteru jego żony.

Cały dzień spędziłem na rozmowach z ludźmi, którzy pamiętali jeszcze rodzinę Orione z czasów, kiedy Wiktor i Karolina wychowywali swoje dzieci.

Najbardziej miarodajną i pomocną w moich poszukiwaniach okazała się pani Joanna, dziewięćdziesięcioletnia niewysoka staruszka spędzająca swoje ostatnie lata w Domu Starców Sióstr Małych Misjonarek Miłosierdzia. Jej jasna twarzyczka o wesołych czarnych oczach żywo odzwierciedlała przeżycia, jakie wywoływały w niej moje słowa. Rozmowa toczyła się gładko i przyjemnie. Staruszka była realistką. Rzadkie, białe włosy miała zebrane w mały kok. Z łatwością przenosiła się pamięcią w przeszłość sprzed osiemdziesięciu lat, kiedy Alojzy był małym chłopcem, a ona nieco starszą dziewczynką.

– To była na wskroś uczciwa rodzina – mówiła. – A matka Alojzego, pochodząca z sąsiedniej miejscowości Castel Nuovo, była rzeczywiście bardzo, bardzo dobra. Przystojna, poważna, była świątobliwą kobietą, prawdziwą świętą. Dbała o porządek, była wymagająca, dzieci trzymała krótko, karała rzadko. Jedno słowo mamy wystarczało. Gdy karała, czyniła to gruntownie. Była dobrą gospodynią, dobrą żoną, dobrą matką.

Mimo że była żoną prostego robotnika, cieszyła się wyjątkowym poważaniem kobiet w Pontecurone. Staruszka wspominała i o tym, jak Karolina przystawała, by zwrócić sąsiadkom uwagę i przemówić do ich sumienia, gdy słyszała obmowy lub przekleństwa.

– Czy jej tego nie brano za złe? Była przecież jedną z nich? – zapytałem.

Staruszka podniosła ręce, otworzyła szeroko bez-
zębne usta.

– Bynajmniej, kobiety za bardzo ją poważały, były przekonane o jej prawości, nie było można niczego jej zarzucić, wprost ją podziwiano. Tak samo było, gdy zachęcała do udziału we Mszy Świętej. Wiedziały, że Karolina nie tylko uczęszcza na Mszę Świętą, lecz korzysta z każdego wyjścia z domu, by wpaść do kościółka i pomodlić się. Przyjmowano więc chętnie jej uwagi i napominania. Miała silny charakter, a przy tym dobre serce. Nie, nie – niczego nie brano jej za złe.

Na uwagę o odwiedzinach kościoła mój towarzysz, ksiądz Bidone, przypomniał sobie anegdotę, która o niej krążyła.

– Słyszałem, że matka Alojzego przed jego urodzeniem ofiarowała Madonnie róże, aby uprosić dla dziecka szczególne łaski. Czy pani wie coś o tym?

Znowu kościste, małe ręce uniosły się nieco.

– Niech pan w to nie wierzy, taka ona nie była. W swojej pobożności była prawa i solidna jak we wszystkim. Do kobiet wyczyniających takie rzeczy ona nie należała.

A kiedy moja rozmówczyni zaczęła opowiadać o dzieciach i kobietach wiejskich, jak rokrocznie wybierały się w czasie żniw na pola, by zbierać kłosa, przed oczami stanął mi jak żywy mały wiejski światek Pontecurone sprzed osiemdziesięciu lat.

Rodzina Orione brała w tym udział: Alojzy, najmłodsze dziecko, jego brat Albert i żona najstarszego brata Benedykta. Podczas wędrówki polami w celu zbierania kłosów dzieci prędko stygły w zapale i zaczynały zabawę, a żona Benedykta korzystała chętnie z chwili odpoczynku.

– Dalej, dalej – popędzała swą gromadkę niestrudzona Karolina – to jest chleb, a chleb jest czymś świętym.

I znowu podejmowano pracę bez niechęci, idąc za dobrym przykładem matki, która siebie nigdy nie oszczędzała.

Dla niej chleb miał jakieś prawie mistyczne znaczenie, a zbieranie kłosów było jakby uświęconym obrzędem. Tkwiło to w niej tak głęboko, że i Alojzemu udzieliło się na całe życie tak dalece, iż w czterech założonych przez niego zgromadzeniach żyje troska, by nie zmarnowała się nigdy ani kromka chleba.

Pewnego razu, gdy podróżowałem z dwoma wybitnymi członkami Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności z Florencji do Rzymu, przypomniał mi się ten charakterystyczny rys Karoliny. Spożywaliśmy wtedy posiłek, jaki można kupić w zgrabnym opakowaniu we wszystkich włoskich pociągach. Zostało nam po bułeczce. Właśnie zamierzałem moją wrzucić do kosza wraz z opakowaniem i papierowym kubkiem, gdy zobaczyłem, że moi towarzysze swoje resztki starannie zapakowali, by posilić się nimi później.

Odwiedzając tak mieszkańców wsi, wiele razy słyszałem opowiadanie o cudownie dzwoniących kwiatkach kampanuli.

Niełatwo jest zbadać losy Włocha, wieśniaka już za życia otoczonego nimbem świętości, którego proces kanonizacyjny jest w toku. Fakty trzeba oczyścić z legend, zwykle wydarzenia oddzielić od nadzwyczajności i cudowności.

Pobożny Włoch lubuje się w zdarzeniach cudownych. Tak jak Hiszpan, Irlandczyk, mieszkaniec Ameryki Południowej – nie stracił on nigdy łączności z epoką pierwotnej żywej wiary. W cudach nie widzi przeto nic nieprawdopodobnego, lecz coś, czego można się spodziewać od ludzi współdziałających z Bogiem. Skłonny jest w cudach upatrywać dowód świętości. Dla mnie, sceptyka o zupełnie innej mentalności, są one wyłącznie zjawiskiem wtórnym. Życie wewnętrzne świętego, jego samozaparcie, postawa wobec otoczenia i jego działalność decydują o wszystkim. Dopiero to stanowi dla mnie kryterium świętości.

Już na długo przed śmiercią Alojzego, bardzo wiele cudów stwierdzonych lub zmyślonych łączono z jego osobą. Z łatwością można by napisać dzieło o niezwykłych wydarzeniach jego życia.

Dlatego z góry postanowiłem wszystkie te cudowne opowiadania traktować jak bajkę. Trzymałem się tej zasady tak długo, dopóki ważne przyczyny nie zmusiły mnie do zmiany zdania. Sporządziłem wywiad

z Ernestem Sacchim. Leżał w swojej czystej pościeli, liczył osiemdziesiąt trzy lata i był rówieśnikiem Alojzego Orione. Chodzili razem do szkoły. Signor Sacchi zaraz na wstępie zaczął mi opowiadać, jak to mały Alojzy zbierał dzwoneczki polne, układał je w bukiet, a kwiaty w jego rękach wydawały ciche dźwięki.

Przerwałem mu energicznie: „Ta historia może być tak samo prawdziwa jak zmyślona. Wobec czasu, który upłynął, w żaden sposób ani ja, ani pan sprawdzić tego nie możemy, lecz pan może mi opowiedzieć coś nieporównanie ważniejszego. Mnie i moim znajomym jeszcze nigdy kwiaty nie dzwoniły. Takie zjawisko czyni Alojzego Orione człowiekiem innej kategorii niż my wszyscy, a to do mnie nie przemawia. Przecież był zwyczajnym chłopcem wiejskim. Bawiliście się razem, znał pan jego usposobienie, jego temperament i o tym proszę mi opowiedzieć”.

Z początku pan Sacchi, gdy mu tę jego najefektowniejszą historyjkę popsulem, czuł się dotknięty, lecz wnet jako człowiek inteligentny zorientował się, o co mi chodzi. Podobnie jak Wiktor Orione i on kierował grupą robotników drogowych. Był fachowcem, który przewodził innym. Pozwoliłem jego pamięci przez kilka chwil wędrować po szlakach bardziej przyziemnych.

Potem zaskoczyłem go nagłym pytaniem: „Czy w szkole i na ulicy Alojzy bił się grubiańsko, czy też w sposób godny?”.